

deficytu federalnego od czasów lewicowych keynesistów w latach trzydziestych. Możemy zatem oczekiwać jego wzrostu oraz całego zestawu nowatorskich wymówek: wyciągania statystyk pokazujących, że deficyt i dług „w rzeczywistości nie są aż takie złe”, jak w którymś z lat po drugiej wojnie światowej, albo twierdzeń, że w „głębokim” i mętłym sensie filozoficznym *tak naprawdę* ani długu, ani deficytu nie ma.

Jeśli chodzi o podatki, to prawdopodobnie możemy zaufać neokonserwatystom, że obniżą krańcowe stawki podatkowe dla wyższych progów oraz podatki od zysków kapitałowych, ale przecież w pozostałych przypadkach możliwości są nieograniczone. Możemy się zatem spodziewać dalszego „likwidowania luk” na wzór ustawy o reformie podatkowej z 1986 roku, w następstwie której na rynku nieruchomości pojawił się długotrwały i wciąż doświadczany krach. Możemy również spodziewać się wzrostu akcyzy, a być może też krajowego podatku obrotowego lub podatku od wartości dodanej.

Harry Hopkins podobno streścił podstawową strategię Nowego Ładu w następujących słowach: „będziemy opodatkowywać i opodatkowywać, wydawać i wydawać, wybierać i wybierać”. Mógłby również dodać: kontrolować i kontrolować. Przez ostatnie dziesięciolecia zmieniły się zewnętrzne formy, lśniące sidła, by skusić kolejne pokolenia frajerów. Jednak istota stale rozrastającego się Lewiatana pozostała niezmienną.

22. PO OWOCACH...²²

Jednym z najbardziej przerażających elementów Nowego Ładu była polityka rolna: w imię „zwalczania depresji” rząd federalny zorganizował ogromny kartel amerykańskich farmerów. W środku najgorszej depresji w historii Ameryki rząd federalny narzucił farmerom, by uprawiali pszenicę na co trzecim akrze ziemi i by dokonali uboju jednej trzeciej swoich prosiąt. Wszystko to miało przynieść wzrost cen na skutek wymuszonego spadku podaży. Kiedy mieszkańcy amerykańskich miast głodowali, przedstawiciele lewicy winili „amerykański kapitalizm” za wymuszone przez rząd obniżenie podaży produktów rolnych. Problemem jednak nie był kapitalizm, problemem były zorganizowane grupy nacisku – w tym wypadku agrobiznes – które wykorzystywały rząd federalny do zorganizowania i egzekwowania polityki kartelu rolnego. Wszystko w imię

²² Artykuł opublikowany po raz pierwszy w „The Free Market” w październiku 1992 roku.

pomocy „jednej trzeciej narodu”, którą Franklin D. Roosevelt postrzegał jako „niedożywioną, „nieodzianą” i „żyjącą w nieodpowiednich warunkach mieszkaniowych”.

Polityka rolna Nowego Ładu trwa i rozwija się od 1933 roku, jej makabryczna logika jest realizowana kosztem konsumentów przez cały rok, przez rządy demokratów i republikanów, w czasach dobrych i złych. Jeśli chodzi o obcesowe niszczenie żywności przez rząd w trakcie recesji, jedna rzecz budzi słuszne wzburzenie – o ile media w ogóle się tą sprawą zajmują. Wrzawę podnieśli właśnie farmerzy ze środkowych nizin Kalifornii, która znajduje się w głębokiej recesji.

Szczególny problem stanowią owoce, uprawiane w Kalifornii brzoskwinie i nektaryny o nieco „zbyt małej wielkości”. Od lat trzydziestych sekretarz rolnictwa ustanawia standardową wielkość brzoskwiń i nektaryn. Owoce o choćby mikroskopijnie mniejszej wielkości lub wadze od rządowego standardu są nielegalne i muszą zostać zniszczone przez farmera pod groźbą surowych kar.

Nie oznacza to, że tych nieco mniejszych brzoskwiń i nektaryn nie udałoby się sprzedać konsumentom. Wręcz przeciwnie, większość ludzi, w tym wprawieni zbieracze owoców, nie jest w stanie dostrzec różnicy na oko, przez co konieczne staje się wykorzystanie kosztownych wag i maszyn sortujących. Szacuje się, że w sezonie uprawnym w 1992 roku sadownicy z Kalifornii będą zmuszeni zniszczyć co najmniej 225 tysięcy ton za małych owoców.

Rzecz w tym, że Gerawan Farming, największy na świecie plantator brzoskwiń, nektaryn i śliwek, został oskarżony o złamanie prawa federalnego, gdyż zamiast niszczyć małe owoce, śmiał sprzedawać je hurtownikowi z Los Angeles, który z kolei odsprzedawał je rodzinnym warzywniakom, a te zaopatrywały biedniejszych konsumentów, skłonnych kupić tańsze, choć mniejsze owoce.

Kluczowa tutaj jest oczywiście taniość. Sekretarz rolnictwa nie wymyśla sam swoich złośliwych regulacji. Zgodnie z prawem minimalną wielkość określają komitety farmerów uprawiających dany produkt. Farmerom wolno wykorzystywać rząd do egzekwowania karteli, w których większe i droższe owoce chroni się przed ich mniejszą i tańszą konkurencją. To tak, jakby Cadillac i Lincoln mogli egzekwować minimalną wielkość samochodu i zakazywać sprzedawania na rynku mniejszych pojazdów.

Prawdopodobnie najbardziej odrażającym aspektem tego systemu jest to, że członkowie komitetów farmerskich uzasadniają swoje działania dążeniem do zwiększania dobrobytu konsumentów. Tad Kozuki, członek

ośmioosobowego Komitetu Zarządzającego ds. Nektarynek, wyraził opinię, że „mniejsze owoce nie są aż tak atrakcyjne dla oka, dlatego też komitety próbują zadowolić konsumenta i uważają, że dzięki temu popyt na nasze owoce wzrośnie”.

Brednie o „zadowoleniu konsumenta” przebił przewodniczący dziesięcioosobowego Komitetu Towarowego ds. Brzoskwiń John Tos, który uroczyście oświadczył, że „eliminujemy owoce o małej wielkości, gdyż tak mówią nam grupy fokusowe”, a następnie dodał, że dwa wspomniane komitety wydają właśnie 50 000 dolarów na bardziej szczegółowe analizy preferencji konsumentów owoców.

Koledzy, nie wydawajcie tych pieniędzy. Mogę przewidzieć rezultat za każdym razem: konsumenci będą zawsze woleli duże brzoskwinie od małych, tak jak mając do wyboru cadillaca i geo, będą woleli tego pierwszego – oczywiście w prezencie i bez konieczności dopłacenia różnicy. Ma się rozumieć, kluczowa w tym wszystkim jest cena. Mniejsze brzoskwinie byłyby tańsze, tak jak tańsze są geo, a konsumenci powinni mieć możliwość wyboru pomiędzy różnymi gatunkami, wielkościami i cenami.

Eric Forman, zastępca dyrektora Wydziału Owoców i Warzyw Urzędu Rynku Rolnego podlegającego Departamentowi Rolnictwa, był nieco bardziej szczery od należących do kartelu farmerów. Powiedział, że „konsumenty są gotowi wydawać więcej pieniędzy na duże owoce niż na małe, dlatego więc mielibyśmy osłabiać pozycję produktu przynoszącego sadownikom większy zysk?” Innymi słowy, dlaczego mielibyśmy pozwolić sadownikom „osłabiać” pozycję produktu przynoszącego duży zysk w procesie niekiedy zwanym także konkurencją (w kręgach rolniczych będącą najwyraźniej pojęciem, którego nazwy nie wolno wymawiać)?

W kwestii owoców rozsądek zachowują grupy konsumenckie i nękania Gerawan Farming. Scott Pattison, dyrektor wykonawczy organizacji Consumer Alert, słusznie zauważył, że ta polityka jest „skandaliczna”. Pyta on: „Dlaczego biurokraci i sadownicy mówią nam, że nie istnieje rynek? Gdyby konsumenci rzeczywiście nie kupowali małych owoców, to sadownicy musieliby zrezygnować z prób ich sprzedania. Wydaje mi się jednak, że matki z niskimi dochodami chętnie kupią mniejsze owoce, na które je stać, by dać je potem swoim dzieciom na lunch”. Z kolei Dan Gerawan, szef Gerawan Farming, trzymając nektarynkę, oświadczył sardonicznie: „to jest zło, nielegalny owoc”. Gerawan dodał, że rząd „sankcjonuje niszczenie owoców przeznaczonych dla biednych”.

Taka jest istota działania państwa dobrobytu: rząd tworzy kartele i ogranicza konkurencję, obniża produkcję, zwiększa ceny i szkodzi

w szczególności konsumentom o niskich dochodach. Czyni to za pomocą dezinformujących kłamstw, wymyślanych przez technokratów zatrudnianych przezeń do administrowania państwem dobrobytu, a wszystko to przy starej obłudnej śpiewce o tym, że polityka ta ma na celu dobro konsumentów.

23. POLITYKA GŁODU²³

Media skupiają się z jednej strony na przerażających ujęciach umierających z głodu dzieci, a z drugiej na zarzutach wobec rządów – krajów Zachodu, Etiopii lub innych – które można by obarczyć odpowiedzialnością za to, że pomoc humanitarna nie dotarła do głodujących ludzi na czas. Tymczasem kwestie istotne i podstawowe w tej medialnej burzy zupełnie zignorowano. Nie zadano na przykład pytania, dlaczego natura zdaje się prześladować tylko kraje socjalistyczne. Jeśli problemem jest susza, to dlaczego deszcze omijają tylko kraje socjalistyczne lub mocno etatystyczne? Dlaczego Stany Zjednoczone nigdy nie cierpią z powodu złego klimatu, który by przynosił klęski głodu?

Za katastrofalne braki żywności odpowiadają nie bogowie czy gwiazdy, ale działania człowieka. Klimat nie jest powodem, dla którego przed nadejściem komunizmu Rosja była eksporterem zboża, a Związek Sowiecki jest teraz jego importerem. Natura nie jest odpowiedzialna za to, że ze wszystkich krajów wschodniej Afryki to właśnie marksistowsko-leninowskie społeczeństwa Etiopii i Mozambiku najbardziej cierpią z powodu masowych klęsk głodu. Dane przyczyny przynoszą dane rezultaty. Nieuniknionym prawem natury i ludzkości jest to, że kiedy rolnictwo jest regularnie paraliżowane i wyzyskiwane, produkcja żywności musi się zafłamać, a skutkiem tego będzie klęska głodu.

Źródła problemu należy szukać w Trzecim Świecie, gdzie a) rolnictwo jest zdecydowanie najistotniejszym sektorem gospodarki i gdzie b) ludzie nie są na tyle zasobni, by w czasie kryzysu kupować żywność za granicą. Dlatego też dla ludzi z Trzeciego Świata rolnictwo jest najcenniejszą działalnością i jest niezwykle istotne, by tej działalności nie krępować lub do niej w żaden sposób nikogo nie zniechęcać. Gdzie jednak istnieje produkcja, tam istnieją również pasożytnicze klasy żerujące na producentach. Kraje Trzeciego Świata stanowiły w XX wieku arenę dla marksizmu stosowanego, rewolucji, zamachów stanu oraz panowania marksistowskich

²³ Artykuł opublikowany po raz pierwszy w „The Free Market” w kwietniu 1985 roku.

daje się im swobodę myślenia, pracowania, inwestowania i wykorzystywania swoich umiejętności. Postęp idzie w parze z wolnością.

55. WOJNA PRZECIWKO SAMOCHODOM⁵⁵

Jedną z fascynujących właściwości obecnego kształtu sceny politycznej jest jej przejmująca i niemająca właściwie precedensu polaryzacja. W ostatnich miesiącach jesteśmy świadkami powstawania wyraźnego, aktywnego i bardzo rozległego oddolnego ruchu o charakterze *ludowym*, kierującego się głęboką niechęcią do prezydenta Clintona jako człowieka, do jego ideologii i polityki, do wszystkich ludzi z nim powiązanych oraz do rządowego Lewiatana w Waszyngtonie.

Jest to ruch wyjątkowo powszechny i obejmuje zarówno mieszkańców terenów wiejskich, jak i zwyczajowo umiarkowanych intelektualistów i profesorów. Świadczą o tym osobiste rozmowy, oddolne inicjatywy i sondaże opinii publicznej. Co dość dziwne, zazwyczaj w reakcji na tak aktywny ruch ludowy druga strona, czyli rząd, spuszczała z tonu i zaczynała iść z wiatrem. Jednak administracja Clintona mknie nieostrożnie do przodu, czym przyczynia się w coraz większym stopniu do rozwoju rzeczywistego kryzysu społecznego, czy też – jak powiedziała by Lenin – „sytuacji rewolucyjnej”.

Administracja Clintona w odpowiedzi próbowała wręcz ograniczyć wolność słowa swoich przeciwników. Pierwszy z dwóch najbardziej znanych niedawnych przykładów to zgłoszony przez Clintona projekt rozszerzenia definicji lobbyingu, tak by obejmowała właściwie każdą oddolną działalność polityczną (co oznaczałoby przymus rejestracji i inne uciążliwe regulacje). Na szczęście ten projekt „reformy lobbyingu” został zablokowany przez „obstrukcjonistów” z Senatu po tym, jak przeszedł przez Izbę Reprezentantów.

Drugi przykład to systematyczne działania prawne Departamentu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miejskiego (HUD) w celu odebrania wolności słowa w sprawach politycznych i prawa do zgromadzeń tym, którzy sprzeciwiają się rozwojowi publicznego budownictwa mieszkalnego dla „bezdomych” w swojej okolicy. Okazuje się, że ta podstawowa aktywność polityczna wolnych mężczyzn i kobiet jest „dyskryminacyjna” i w konsekwencji „nielegalna”, a HUD zakończył szykany prawne wobec tych obywateli dopiero wówczas, gdy spotkał się z wyraźną i surową krytyką publiczną. Jednak nawet wtedy HUD nie przyznał, że się mylił.

⁵⁵ Artykuł opublikowany po raz pierwszy w „The Free Market” w grudniu 1994 roku.

Najnowszy Clintonowski pochód w kierunku totalitaryzmu dopiero się rozpocznie. Wygląda na to, że Biały Dom utworzył panel doradczy, znany jako „komitet Białego Domu ds. pogadank o samochodach”, który miał przedstawić swoje zalecenia we wrześniu. Potrzeba „pogadank o samochodach” bierze się rzekomo stąd, że auta, emitując zanieczyszczenia, stanowią zagrożenie dla środowiska.

To, że demonizowany pierwiastek chemiczny, ołów, został już wyeliminowany z benzyny, a za sprawą ciągłych działań władz federalnych silniki samochodowe są coraz bardziej „paliwooszczędne”, co odbywa się kosztem bezpieczeństwa, nie robi na tych ludziach żadnego wrażenia. Nie da się zaspokoić apetytu tego agresywnego ruchu na rzecz pełnego kolektywizmu: korzyści i ustępstwa tylko ich zachęcają i zaostrzają ich apetyt na eskalowanie żądań. Dlatego też dla uczestników pogadank o samochodach zanieczyszczenia pochodzące z emisji spalin pozostają wciąż równie poważnym zagrożeniem, jak kiedyś.

W skład panelu ds. pogadank o samochodach wchodzi ci sami podejrzani, co zwykle: Clintonowscy urzędnicy, ekolodzy, przychylni ekonomici i kilka marionetek z przemysłu motoryzacyjnego. Oto niektóre z nowatorskich pomysłów, jakie omawia się obok podwyżki podatku od „paliwożernych” samochodów i ciężarówek (pytanie: czy jakiś samochód sączy delikatnie paliwo, zamiast je „pożerać?”):

- podniesienie minimalnego wieku, w jakim można otrzymać prawo jazdy;
- nakazanie kierowcom, którzy przekroczyli wiek maksymalny, by oddali prawo jazdy;
- wprowadzenie limitu samochodów będących własnością jednej rodziny;
- wprowadzenie możliwości dojazdu samochodem do pracy tylko w wybrane dni.

Krótko mówiąc, planuje się wprowadzenie przymusowej reglamentacji samochodów, by wymusić na niektórych grupach zupełne zaprzestanie jeżdżenia, a na innych zaprzestanie korzystania z samochodów, które łaskawie pozwala im się posiadać. Jeśli to nie jest totalitaryzm, to co nim jest? Skoro amerykańskie społeczeństwo naprawdę wścieka się na „grabież broni”, to poczekajmy, co będzie, gdy sobie uświadomi, że Lewiatan planuje zagrabić również samochody!

Oczywiście jeden z doradców Białego Domu, który rozmawiał o tym z prasą, przyznał, że niektóre z „bardziej szalonych pomysłów” zostaną odrzucone przez komitet. Czy to jest jedyna szansa na zachowanie naszej wolności?

Tymczasem, jak zwykle, tylko lewica publicznie skrytykowała te rozważania, skarżąc się, że uczestnicy pogadank o samochodach nie

działają wystarczająco szybko. Dan Becker z Sierra Club narzeka, że „w każdej sekundzie, kiedy słyszymy jęki z Białego Domu”, setki albo tysiące litrów zanieczyszczeń trafiają do powietrza. Kto wie? Może doktor David Kessler, najwyraźniej etatowy przewodniczący Agencji Żywności i Leków, przedstawi odkrycie, że emisja spalin jest „toksyczna”, dzięki czemu można by z dnia na dzień zakazać wszystkich samochodów?

Powinniśmy sobie zdać sprawę z tego, że wojna przeciwko samochodom nie zaczęła się wraz z odkryciem zanieczyszczeń. Wrogość do prywatnych samochodów jest wśród lewicowych liberałów powszechna od dziesięcioleci. Początkowo znajdowała przejaw w niewspółmiernie wielkiej hysterii wokół pewnej pomniejszej kwestii estetycznej: stateczników w cadillacach z lat pięćdziesiątych. Zdumiewające jest to, ile przelano atramentu i zmarnowano energii, by potępić grozę stateczników.

Wkrótce jednak okazało się, że lewicowo-liberalne uskarżanie się na samochody ma niewiele wspólnego ze statecznikami czy zanieczyszczeniem. Lewicowców bowiem do szewskiej pasji doprowadza to, że prywatny samochód to mocno indywidualistyczny, wygodny, wręcz luksusowy środek transportu.

W przeciwieństwie do kolei samochód wyzwolił Amerykanów spod kolektywistycznej tyranii transportu zbiorowego: od konieczności ocierania się o „przekrój demokratycznego społeczeństwa” w autobusie lub pociągu oraz od hegemonii stałych rozkładów jazdy i tras. Prywatny samochód uczynił z każdego „króla drogi”, który może jechać, gdzie chce i kiedy chce, nie musząc wyjaśniać tego z sąsiadami albo ze swoją „wspólnotą”.

Ponadto kierowca i właściciel samochodu może dokonywać wszystkich tych cudów w wygodzie i luksusie, w przyjemnej atmosferze, bez potrzeby wielogodzinnego przepychania się ze swoimi „demokratycznymi” towarzyszami podróży.

I tak systemowa wojna przeciwko prywatnym samochodom rozpoczęła się, a następnie nabrała rozpędu. Skoro nie mogą zabrać nam samochodów od razu, to przynajmniej mogą w imię „wydajności paliwowej”, „walki z zanieczyszczeniem”, radości z ćwiczeń fizycznych lub choćby estetyki nakłonić nas albo przymusić do korzystania z samochodów, które byłyby droższe, mniejsze i lżejsze, przez co mniej bezpieczne, a także mniej luksusowe, a nawet mniej wygodne.

Skoro niechętnie pozwolili nam tymczasowo zachować swoje samochody, to mogą przynajmniej nas ukarać, utrudniając nam jazdę. Jednak clintoniści w swojej wielopłaszczyznowej kampanii na rzecz kolektywizmu,

obejmującej opiekę zdrowotną, zabieranie broni oraz ataki na wolność słowa i prawa palaczy, pokazali, że nigdy się nie poddają.

W przeciwieństwie do poprzednich administracji są oni niestrudzeni, nieprzejednani i niczego nie przeoczą. Jeszcze wczoraj slogan: „jeśli pozwolimy im przyjść po nasze papierosy i broń, to następnym razem przyjdą po nasze samochody” mógłby wydawać się absurdalną hiperbolą. Teraz jednak ta wizja staje się aż nazbyt trzeźwą ilustracją rzeczywistości politycznej.